



Andrzej Muszyński

M i e d z a

Trawy, trawy, zimne gruszki

Szła do nas jesień, której trudno było zaprzeczyć. Od pieca w piwnicy już duło, duło wziętym cugiem, że jakbyś nie wiedział co, tobyś pomyślał co straszego. Bo wieczorami zaciągało już chłodem i my już palili, przepalali, aż ta piwnica obrała się od wewnątrz w drgające, kruche płyty popiołu. A jak który palił, jak jego kolej była, to wychodził siwiuteńki, jakby mu się na głowę strop zawalił.

Szła więc do nas i nikt jej nie mógł zaprzeczyć. Siedzieliśmy wtedy w południe przy stole, przy ceracie powypalanej papierosami, wyblakłej, wytartej pokoleniami rękawów, nadgarstków, zegarków, poklejonej plamami herbat, mlek, żurów, zalewajek, kaw i palonych zbóż. Ja i wujek albo ja i dziadek, nie pamiętam. Nie pamiętam, bo oni bracia i podobni do siebie jak to bliźniaki. Tacy, że jednacy. I do tego oba jednako skubiący palce. I wtedy ich nie rozpoznasz prawie, spamiętać co dopiero.

To ja naprzeciw i on naprzeciw, ja wsunięty mocno, aż mi blat się wrzyna w żebra, on odsunięty na tyle, że rozłożył się na kolanach w poziomie swoją skórzaną, sparciałą teczkę. Słońce zerwało się nagle, przenicowało firanki i zalało nas wściekle, białe, i w tej jaskrze on wpatrzony na dół, na tę teczkę i swoje ręce, i skubie, zdziera z palców zrogowaciałe zerwy, a ja zupę jem i łypię na to z byka, a on tryk, stryk, pyk i strzepuje je wszystkie na teczkę, i skórki zbierają się w jej zagłębieniu. I stryk, stryk, już nie wiem, jak z jednego człowieka może zleźć tyle martwej skóry, co nie wygląda nawet na martwą, a suchą, żółkłą, jak żółtaczka, ale jak on ją podebrał czarnymi pazurami gdzieś przy kości, gdzieś przy mięsie, to złaziła stargana sztywnymi, narwiastymi płatami. I ja wiedziałem, że on nie może przestać, że będzie ją darł, aż nie starczy, aż go kości zakłują, aż do cna zlinieje. Chlipałem zupę i spoglądałem na te skórki, jak się jeżą na tej teczce, jak się iskrzą, białe, naświetlone, zdziczałe, a potem w trymiga usychają, kurczą się, zwijają, spętłają.

Ocknął się nagle, strzepał te skórki na podłogę i zaczął swoje. Bo ja kończyłem zupę i przechylałem talerz do siebie, żeby móc nabrać resztki. I jakbym przechylił bardziej, tobym się oblał, a on wtedy: że dureń jestem, że kto mnie tak nauczył, że talerz się przechyla od siebie, do zewnątrz, do środka stołu, a nie do siebie. Nie chcę się denerwować, bo jem, to nic nie mówię. Ale on swoje: no to jak to jest? Talerz się przechyla od siebie czy do siebie? Od siebie, tłumaczy jak na kazaniu, to się obleje nie siebie, tylko tego naprzeciw. Krew mnie zalała, łykłem w złości ostatnie łyżki, prędko, najprędzej i się pytam: o co tobie chodzi? Czego ty ode mnie chcesz? Dej mi spokojnie zjeść po swojemu. A on na to: to rób tak, to jak cie kto tyrpnie, wszystko zawsze na ciebie poleci! A ja do niego: no przecie tobie o to chodzi!

I wtedy zza szyby, za szybą mignął świetlisty pierścień i wytrącił nas z tej nierównowagi na dobre.

Chodziliśmy wtenczas po polach, wte i wewte, bo zrywaliśmy ostatnie warzywa i taczkami je zwozili do piwnicy. Chrustu się trochę nazbierało, trochę paliło. Latało się po tym sadzie na gazie, klepiąc trepami.

I nagle, i wtedy. Idąc raz prosto przez sa wpadam prawie na samym środku drogi w ścioraną reklamówkę, a w środku pełno zimnych gruszek.

Ki diabeł?

Kto to zostawił?

Na co?

I na wypadek jej nie tknąłem.

Ale idę na dzień drugi i patrzę, a tam znów ta reklamówka, ale parę kroków już dalej. Już widzę, skąd te gruszki, z ostatniej gruszy w sadzie i przesuwane, co dzień trochę bardziej w stronę domów.

Bo dzień później zaś ją widzę parę kroków dalej.

Dzień później – zaś przeniesiona trzy kroki.

Dzień później – zaś.

I ki diabeł znów do siebie szepczę.

Na co to komu?

Po co?

A trzeba też wiedzieć: to było lato traw. Tamtego lata trawy obrosły nas jak nigdy, opasały ciężką wstęgą, wdarły się do bud i piwnic, chlewów i stodół, siekli je, żęli, młócili i nic. Porosły pola i uginały się ich ciężkie łuki nad drogami, wygonami, jak tunel, w którym o świcie znikali ludzie z pękami sierpów i kos. Szli je kosić, żąć, młócić. I nic. I w tych trawach zagnieździł się tłusty rój polnych koni, czerwi, kawek. I zaczęło to wtedy jęczeć, najprędzej wieczorem, gwizdać, świszcząć, że ogłuchnąć nam było otumanić. I już myśleli wszyscy, że te trawka w nas wrosną niebawem, że na jakim olbrzymie siedzimy, co chodzi z worem traw i nagle jak nie wstanie, jak się nie zerwie, zatrząsie ziemią, zadudni światem, a my uwieszeni, uczepieni łapskami tych jego trawsk pójdziemy zaludniać inne światy.

Ale jesień szła i nawet olbrzym taki nie mógłby jej zaprzeczyć.

A my ciągle w polu, w tę i nazad. I patrzę, a tam dzień później znów ta reklamówka z gruszkami, ale parę kroków dalej, bliżej domów.

I znów myślę: ki diabeł?

Na co to komu?

Ki diabeł?

I dzień później znów idę po pietruchę, lecę z taczka przez sad. A ta reklamówka znów kapkę dalej, bliżej domów. No i wtedy patrzę, a tam przy tej reklamówce ona. Tyngielka.

Kulka, ludzka kulka z dwoma garbami: swoim własnym cielesnym i narzuconym nań płóciennym: szorstkowaty, postrzępiony wór. Tyngielką zwana, ale nikt nie wie czemu. Ani skąd się wzięła, choć we wsi całe życie. Codziennie przesuwiała się po firmamencie świata, gdzieś zawsze w dali, gdzieś u stóp słońca, księżycy, chmur. Sunęła mozolnie, nie podnosząc stóp. Ludzka pomarszczona kulka, na plecach wór. Zawsze sama, z pulchnym garbem traw.

Bo to przez te lato ją pewnie znów zauważyliśmy, bo jakby zniknęła, jakby myśleliśmy, że umarła, zapomnieliśmy na amen, jakby jej nigdy nie było, a ona wciąż je rwała. Nie musiała się po nie schylać, bo wygięta jak pałak, głowa przy ziemi, wyżej garb. I haratała je z pól chropowatymi dłońmi, w gumowych łapciach, wełnianych skarpetach. Obranych trocinami. Latem. I w chustce zawsze związanej pod szyją. Sama, ludzka kulka, Tyngielka. I chrum, chrup, harat, pod jabłonią, pod gruszą, wokół chrzanów, wokół szczawiów. Oschłe, szorstkie, lepkie, harat, harat. Zapadał zmierzch, wracała. Płynęła z pulchnym worem traw, u stóp słońc, u stóp gwiazd. Sama, zawsze, Tyngielka.

Ale szła jesień i nawet trawy nie mogły jej zaprzeczyć. Płwiałały one, siwiały. Ugory pokrył kaszkowaty wysyp wysokich na chłopa, koprowatych traw. Pierwszy raz je widziałem. Pytałem babki, jak się na nie mówi, powiedziała: nie wiem. Puste w łodygach, szpakowaciały te trawy, kasztaniały, sztywniały. Ktoś puścił pierwszy dym, zapłonął ogień, rósł. I zatoczył pierścień i nas okrążył, całą wieś. I mężczyźni strzegli swoich stodół jak Noe. A ten pierścień trawił koprowate trawy, chrzęściły one i strzelały, i zbliżał się do naszych burt. A przed pierścieniem sunęła ona, Tyngielka. A za nią świerszczał płomień. Szła z ostatnim worem płowych traw. Sunęła, nie podnosząc stóp. Sama, ludzka kulka, Tyngielka. I słyszeć trzeba było potem ten syk palonych larw, kwik topionych ciał. A ona jakby nigdy nic, szła, sama.

A po tym ogniu przyszły roje kotów, pytałem babki, skąd ich tyle, nie wiem. Same czarne, tylko nocą. Stadami, watahami, bandami. Krążyły jak hieny po ulicach pustych jak grób. Nocne walki, nocne mordy. Kocie krwie, czarne ścierwa. I rozwydrzona swołocz, piskliwe suki, królowie nocy. Zapach dymu, spalone pola. Cisza.

A we dnie znów wtenczas znów ciągle w polu, wte i wewte.

Więc podchodzę do niej wtedy w sadzie i mówię: co, już trawy wypalone, to gruszki teraz jeszcze na zimę znosicie? Cza było nam powiedzieć, toby my wom te gruszki zanieśli do domu. A nie tak się męczyć.

A ona: nie cza. I włożyłem rękę do tej reklamówki. I te gruszki były twarde, zimne.

I ona jeszcze raz: nie cza. I zabrała się, odwróciła i sunęła z reklamówką pod bramę, za sad. Nie podnosząc stóp. Ona.

Zmierzch szedł i jeszcze nikt nie potrafi mu zaprzeczyć. Zmierzch. Patrząc, stawia siatkę z gruszkami na ziemi, zamyka bramkę, odchodzi. Gruszki zostawia. To podlatuję, krzyczę: to przecie mówię, że wam te gruszki zanieś do domu! Coście tacy uparci? Tydzień niesiecie przez sad i je tu zostawiacie pod samą bramą?!

A ona się obraca, ale w ciemności już nie widzę jej twarzy.

I mówi: mnie one już niepotrzebne ani do życia, ani do śmierci.

I niknie w ciemności, i już nigdy jej nie zobaczymy, jak rwie trawy. Pojawi się jeszcze tylko raz, na chwilę, jej niebieskawy cień pod stodołą. Sam, jak kulka, Tyngielka.